

PROCES UMARŁYCH

Nr
24 (68)

Cena
1 zł



„...Wysoki, w jasnym płaszczu i w czapce stał odwrócony tyłem. Brunatne światło podwórzowej lampy padało na jego plecy, nie na twarz. Nie wiem, kto to był. W wejściu do oficyny, tuż przy ścianie stał niższy, krępy mężczyzna z puszystymi włosami. Miał na sobie koszulę w kratę, ale mogła to być marynarka — ciemno... Trzeba było uważać, żeby nóg nie pola-
mac, jak się idzie. Kto by tam patrzył na ludzi.

Ten trzeci szedł już korytarzem do schodów. Mówił coś? Mówił: Chodź tu, chodź... Czy ze złością, czy tak, jakby zapraszał tamtych do swojego mieszkania? Może ze złością. A może tak, jakby zapraszał. Nie wiem. Kto by tam słuchał, co do siebie mówią. Duży w płaszczu machał rękami. „Będą się bić” — pomyślałam, ale bo to raz się biją? Nic wielkiego.
Jak już byłam w mieszkaniu, to otworzyłam okno. Nie dlatego, że mnie obchodzi czy się kto bije, czy nie. Czekałam na syna z pracy. Wyjrzałam. Duży w płaszczu



Olaboga, gdzie
moja sakiewka?

Czytaj na str. 2 i 3

biegł z podwórza w bramę, niższego już nie było. Ten trzeci wyszedł z oficyny i złapał się rynny. Kiwał się przy rynnie i krzychał: Ja wam pokażę. Upadł.

Wtedy już wiedziałam, kto to jest. Pobiegłam budzić jego żonę...

„... Teściowa mnie obudziła. Krzychała: wstawaj, Mietek jest na podwórzu. Spojrzałam na zegar, była za dziesięć dwunasta. Strach mnie zdjął. Mietek miał wrócić z pracy piętnaście po dwunastej. Zbiegłam na dół, to on leżał w rynsztoku przed wejściem, i nie mówił nic. Koło nóg miał pełno krwi. Ale serce mu biło. Czy wódkę czuć było? Było czuć. Myślałam: wypłi i się pokaleczył. Powiedziałam do brata: pomóż go zanieść na górę. On powiedział, że nie damy rady. I powiedział: zobacz, ile w korytarzu krwi. A tam było, jakby się balla rozlała. Wówczas usiadłam na ziemi, podniosłam męża głowę i krzychałam: Mietek, Mietek. On nabrał powietrza, i westchnął głęboko, i to był koniec. Zaczęłam płakać, ale kuma podniosła mnie z ziemi i odciągnęła od niego. „Być mądrzejsza” powiedziała do mnie...”

„... Być mądrzejsza — powiedziałam do niej, bo zaczęła płakać, i nie wiedziała, co robić. Musi przyjechać milicja i pogotowie. Trzeba się pierw dowiedzieć, kto go zabił. Wysłałam do bramy, a tam już stała Bentłowa, bo usłyszała krzyk. „Zabili człowieka” — powiedziałam. „O Jezu, to już teraz nawet w nocy nie można wyjść” — ona na to, i poszła z powrotem na górę. Przyszli szwagier Mietka, a brat jego żony. „Ja wiem, kto go zabił:

powiedział. Wyszliśmy na ulicę szukać tego mordercy...”

„... Ja wiem, kto go zabił — mówiłam — ale tak naprawdę, to nie wiedziałam. Miałam różne podejrzenia. Przecież każdy go mógł zabić. Koza, Lewandowski, Kowalski... Kręcił się po ulicy Buła. I Buła go mógł zabić. Jak mogli zabić? Bez powodu? Zwyczajnie. Pokłócili się i zabili. Dużo nie trzeba.

Koza mu kiedyś groził. Lewandowski podzął nożem teściową. Wszyscy go się bali. Nosił noż. Buła się z każdym bił. Mógł zabić.

Wyszedłem z kumą na ulicę, a tam stał Kmieciak, i mówił: pod dwudziestym szóstym się biją...”

„... Pod dwudziestym szóstym się bili. Najpierw Buła krzychał do kobiety: daj klucze, muszę iść na górę i zmienić buty. Muszę zmienić buty. Kobieta trzymała za ręce dwóch dzieciaków. Dzieciaki płakali. Buła zaczął tę kobietę bić. A jak się przewróciła, to ją kopnął. Już dalej nie widziałem, bo się wciągnął w bramę, a mnie to tam nie obchodziło, czy się biją czy nie...”

„... Byłam z dziećmi u znajomych. Trochę żeśmy wypili. Było po dwunastej, jak wracałam. Mój przyjaciel zaczął krzyżeć, bo myślał, że byłam pomiędzy mężczyznanami. Czy wrócił? A może mnie i uderzył. Kopnął? Nie pamiętam. To już dwa lata minęło. Może mnie i kopnął, ale to nie.

Potem poszliśmy na górę. Zapakowałam mu paczkę — dwie koszule, spodnie, buty. Powiedział, że wyjeżdża. Zgniewał się na mnie. Zawołałam mu taksówkę, i pojechał.

Stałam w bramie, i mówiłam, że ktoś zabił człowieka. Wysoki, w jasnym płaszczu. Przy rogu Zachodniej kręcił się taki. Podeszłam do władzy i pokazałam go. Zatrzymał, ale zaraz puścił.

Krew na ubranju Buły, to od Sabiny Rojek. Ona do niego na mnie źle mówiła. On jest mój przyjaciel, zaczął mnie bronić. Uderzyła go ciężką popielniczką w głowę, jeszcze ma szramę. Wówczas pobiegłam i uderzyłam

ją pogrzebaczem. Przewróciła się, wpadła do swojego mieszkania. Na tym się skończyło. Buła mógł wszystko zrobić, ale zabić, to by nie zabił.

Stałam w bramie do pierwszej, rozmawiałam z ludźmi. Co mówili? Najpierw mówili, że to pewnie Lewandowski. A potem? Potem to zapomnieli.

Buła wrócił na drugi dzień w południe...”

„... Wróciłem, bo ja nigdzie nie uciekałem. Tylko chciałem być honorowy, odejść od niej. Poprzedniego dnia to był dziesiąty sierpnia pięćdziesiątego siódmego roku, to ja cały dzień płem. Handlowałem na Bałuckim Rynku jabłkami, to pieniądze miałem. Najpierw płem z bratem, potem sam, potem z bratem, a potem ze strażnikami na budowie...”

„... Ja byłem starszy strażnik, a Matysiak ze mną. Bron? Tak, mieliśmy karabiny. Pilnowaliśmy nowych bloków na Zachodniej, żeby się dżiki nie wprowadziły. Tego dnia wieczorem przyszedł Buła, i powiedział, czy byśmy z nim nie wypili. Ja nie płem. Matysiak to od razu był pijany, ale tak za bardzo nie był. Służbę trzymał. Buła chciał z nami wypić. Co ja zrobiłem? Kazałem mu się rozejść. I poszedł. Sam był. W rękawie parka-
kammerze był sam. Ten drugi stał w ciemności, przy płocie od Limanowskiego...”

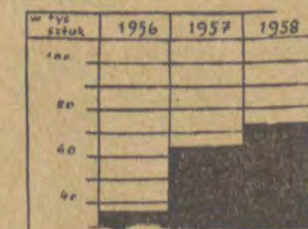
„... Stałem przy płocie, a Buła gadał ze strażnikami, potem mnie zwołał. Strażnik dał pieniądze. Poszliśmy po wódkę. Była sobota, i spóźniłem zamknięte, bo późno. Poszliśmy po wódkę do Walczaka. Limanowskiego dwadzieścia osiem. Dozorca. Kto wiedział, że on trzyma wódkę? Wszyscy wiedzieli. Nie, nikt nie skarżył.

Dalszy ciąg
na str.
6

DANUTA TARCZYŃSKA

Uwaga: Psychedryna!

Motto:
Spożył psychedrynę
w Łodzi.



28. III. 56

Do egzaminu dyplomowego pozostał już tylko tydzień. To bardzo mało. Byłem przerażony termi-

nem. W takim stanie zastał mnie Rysiek i poradził, abym zażył psychedrynę, wtedy będę mógł intensywniej pracować. To dobry kumpel — postarał się nawet o receptę.
Rzeczywiście, idealny środek. Nie spałem trzy noce — pracowałem jak szatan! Dziś zdaje. Wziąłem jeszcze dwie tabletki. Jestem pełen najlepszych nadziei, i jak mi się wydaje, niezłe przygotowany do egzaminu.

29. V. 56

Jestem po wszystkim.

Wspaniałe uczucie wyzwolenia. Nareszcie będę mógł robić to, na co rzeczywiście mam ochotę. Przede wszystkim — pisać! pisać! pisać! Zmęczenie egzaminacyjne minęło, czuję się świetnie. Miałbym ochotę cały świat wziąć w ramiona!

Wczoraj wpadła mi do głowy koncepcja wspaniałego opowiadania. Niestety, nie napisałem. Zupełny brak skoordynowania myśli, widocznie to pozostałości po imieninach, a pomysł meczy. Aby się jakoś doprowa-

(Ciąg dalszy na str. 6)

Nasza szkołka

W Polsce kwitnie tyle de-
nerwująca co śmieszna, choć
nieszkodliwa mania tytułowa-
nia. Przed chwilą dzwo-
nie do koleżki do biura.
Proszę X-a. Osobnik odbie-
rający telefon karcąco po-
prawia: „inżyniera X”. A
guzik mnie to obchodzi. Ja
się umawiam na kawę nie z
żadnym inżynierem, a z tym
osłem i nudziarzem X-em, z

którym jeździliśmy w sąsied-
nich wózkach po parku Po-
niałowskiego jeszcze gdzieś
za czasów wojny o Abisynię.
Dzwonie po chwilę znów do
kogoś — ta sama historia.

Pamiętam dokładnie i ni-
gdy nie zapomnę. Rok 1954,
mam interes do pana
Edmunda Omańczyka. Dzwonię.
Osoby nie znam, w wóz-
ku ani na wozie z nim nie

jeździłem, sprawa służbowa,
więc proszę sekretarkę o „re-
daktora Omańczyka”. „Po-
słania” poprawia mnie sekre-
tarka. — Niech będzie posła.
„A kto mówi?” — pyta nie-
wiasta. „Piszciniński” odpo-
wiadam. „A jak jeszcze?” —
ona na to. Wymieniam
chrześciane imię. „Nie o imię
chodzi” — mówi sekretarka
— „doktor Pipściński? dy-
rektor? redaktor? inżynier?
— jaki Pipściński?” — Nie
mam żadnego tytułu — od-
powiadam nieco ubawiony.

„Każdy ma jakiś tytuł” —
poucza mnie sekretarka.
Przypomniała mi się słu-
żąca od sąsiadów, która przy-
chodziła do mojej żony i po-
wiała: „Pani redaktorowa,
przysłała mi pani doktoro-
wa, żeby pani redaktorowa
oddala pani doktorowej te
patelnie, bo pani mecenaso-
wa chce pożyczyc, bo od niej
wzięła pani prokuratorowa i
jak pojechała do pani do-
ktorowej starszej to zgubiła
i pani doktorowa młodsza
obiecła pani mecenasowej,

że odbierze te patelnie od
pani redaktorowej i da ją
pani mecenasowej.”
Może ja coś w tej litani
pokrecilem. Ona jednak du-
kała bezbłędnie. Gdybym był
władny, natychmiast miano-
wałbym kuchnię dyrektora
protokołu.

Na całym świecie tytułów
używa się w kontaktach za-
wodowych, ale się ich nie
odmienia. To znaczy mówi
się: „Panie profesorze, czy
nie byłby pan łaskaw...” i
nigdy więcej „profesor” w

rozmowie nie pada. U nas
brzmi to „Panie profesorze,
czy pan profesor nie byłby
łaskaw mi powiedzieć, czy
praca pana profesora” itd.
itd. Opuścić jedną okazję
poproferzenia, to tak jak-
by dać facetowi przyczeka
w nos.

Tacy już jesteście. Wynie-
śliśmy tę modę jeszcze z
okresu zaborów, kultywu-
jemy monarchistyczną, dzie-
więtnastowieczną etykietę i

(Dokończenie na str. 2)



Komentarza do tego zdjęcia poszukajcie w artykule



Pewnie już podstawiają nasz autobus



Czasem na słońcu... czasem na deszczu trzeba czekać na autobus

(Dokończenie ze str. 2)

Z Łodzi można dziś dojechać autobusem nie tylko do Pałeczna ale i do Kielc, Częstochowy, Wrocławia a nawet do Dzierżoniowa.

Tendencje rozwojowe komunikacji pasażerskiej na całym świecie idą w kierunku rozwoju komunikacji autobusowej. Uzasadnione jest to względami natury ekonomicznej i warunkami technicznymi. Oczywiście, pociąga to za sobą odpowiednie skutki w postaci budowy nowych szos, autostrad, stacji benzynowych, punktów obsługi technicznej, dworców itp.

Już dzisiaj na przykład Łódzki Dworzec Autobusowy, który jeszcze przed paroma laty zupełnie wystarczał staje się problemem. Mały placyk przed Dworcem Fabrycznym nie może pomieścić wszystkich autobusów, taksówek i dorozek. Łódź są potrzebne co najmniej dwa dworce autobusowe usytuowane na przeciwległych krańcach miasta: jeden dla obsługi północnej części województwa, drugi dla południowej.

Wąskość ulic w naszym mieście, szybki wzrost ilości pojazdów mechanicznych, nasilenie ruchu kołowego i związane z tymi czynnikami bezpieczeństwo drogowe są poważnym argumentem stawiającym poruszany problem w hierarchii łódzkich spraw na czołowym miejscu.

Otwarta pozostaje też kwestia szybkości podróży autobusów PKS. Jeśli nie można mieć żadnych zastrzeżeń co do szybkości autobusów dalekobieżnych, tak szybkość podróżna na trasach województwa pozostawia wiele do życzenia.

Weźmy dla przykładu trasę Łódź—Zelów. Autobus wyjeżdżający o godzinie 19 z Łodzi według rozkładu jazdy powinien być w Zelowie o godz. 20.40. Tak więc odległość 54 km przebywa w ciągu jednej godziny i 40 minut, co daje przeciętną szybkość podróżną 34,2 km na godzinę. Nie wspominać i nie wypominać tu znanych faktów częstego opóźniania wyjazdów z dworca, co w okresie letnim nie ma żadnego obiektywnego uzasadnienia. Idzie mi o samą zasadę — o rewizję dotychczasowych rozkładów jazdy, które się przesyły i przy obecnym stanie taboru są anachronizmem.

Jeśli nawet autobus wyruszy punktualnie w drogę następuje taka sytuacja na trasie, że aby pozostać w zgodzie z rozkładem jazdy kierowca musi parokrotnie przystawać i odczekać nadrobiony czas.

Dla porównania pragnę podać, że czas podróży dylżan- su wynosił około 35 km na godzinę. Tak!

Tempo rozwoju komunikacji autobusowej aczkolwiek powoli, ciągle jednak wzrasta. Obecnie autobusy zaczynają stanowić poważną konkurencję dla kolei. W ostatnich latach znacznie zwiększyła się sieć połączeń autobusowych w skali województwa, jak i w skali krajowej. Obawiamy się, że wobec podwyższenia taryfy kolejowej, a więc finansowego uatrakcyjnienia podróży autobusem — sieć ta okaże się nader niewystarczającą. Szczególnie na równoległe biegnących liniach PKP i PKS zaczynają się nowe trudności. Dyrekcja Łódzkiego PKS zdaje sobie z tego doskonale sprawę lecz nie posiada żadnych możliwości zwiększenia taboru autobusowego. Notabene w tej samej sytuacji bezradności są inne dyrekcje. Sądźmy więc, że sprawa ta dojrzała do jakiegoś generalnego rozwiązania.

sa podała niedawno do wiadomości, iż w pewnym mieście, we wszystkich szkołach komitety rodzicielskie zbierały systemem domokraż- nym, po domach, po 200 zł od dziecka przystępującego do pierwszej komunii, dla zorganizowania pierwszokomunijnych uroczystości. Wybuchły na tym tle wielkie kwasy i małe, dziecicęce dramaty, gdyż dzieci, których rodziców nie stać było na zapłacenie paniom z komitetów rodzicielskich owych 200 zł — przystępowały do komunii oddzielnie, chytkiem, wybocowane, świadome krzywdy.

Zdarzyło to się w... Nowej Hucie. Jak twierdzi „Gazeta Krakowska” oczywiście z inspiracji kół klerykalnych,

ale nie bez wiedzy czynników szkolnych.

W tej sprawie publicystyka nie użyła słowa „socjalizm”. Oczywiście z wykrzyknikiem i rąbnieciem pięścią w stół. A szkoda. Nie jestem za jego nadużywaniem, ale czasem takie przypomnienie może się przydać.

Sklonność do przesadnego tytułowania ludzi i rzeczy znalazła zresztą wyraz w bardzo flegmatycznej anegdotce.

„Wychodzę z knajpy, patrzę stoi sobie samochód, ale jakiś dziwny samochód. Kół nie ma, motoru nie ma, karo- serji też nie ma, jest tylko szofer i wali mnie w mordę”.

Nie każdemu dano.

BELFER



Autobus podjechał, a tu jak na złość gdzieś zapodział się bilet



Na małym placyku można spotkać różnych ludzi i różne zawody



O wygodne miejsca trwa czasem prawdziwa walka. Nikt nie uważa na wiek i pleć...



Tekst:
KAROL BADZIAK
Zdjęcia:
JAN KOPEĆ

Dyżurny ruchu Ireneusz Szkobel daje ostatnie dyspozycje kierowcy. Za chwilę samochód wyruszy na swoją trasę

CZESŁAW ZAWADZKI

„TOSCA”

Wybór „Toski”, jako kolejnej premiery w Łódzkiej Operze, jest zupełnie zrozumiały. Nasza ledwo zipiąca opera może obracać się jedynie w kręgu „żelaznego repertuaru”. Niechby spróbowała puścić się na jakieś nowatorstwo repertuarowe czy eksperymenty, jej anemiczny żywot zgasłby w oka mgnieniu, niczym słabo tie- jący płomyk. Zresztą owego „puszczania się” wystrzega- ją się nawet jej starsze siostrzyce o mocno już u- gruntuowanej pozycji. Mimo nowych zdobyczy w dzied- zinie środków muzycznych współczesnej opery, które zawdzięczamy Debussy’emu, Jaraćkowi, Ryszardowi Straussowi, Bergowi — Puccini stanowi po dziś dzień fundamentalną po- zycję repertuarową wszyst- kich teatrów operowych świata.

Inscenizacja łódzkiej „Tos- ki”, której autorem jest Ka- rol Borowski, nie odbiega w zasadzie od tradycji. Nie oglądamy doniosłych inno- wacji realizatorskich. Kon- cepcja reżyserska idzie w kierunku uproszczenia akcji scenicznej. Założenie to po- dyktowane jest zapewne chęcią urealnienia akcji. Oto na przykład Tosca po zabójstwie Scarpia zgodnie z tradycją ustawia przy cie- le zabitego świeczniki. W rozległej komnacie pałaco- wej panuje mrok i tylko świece z kandelabrow oś- wietlają zwołki „człowieka, przed którym drżał cały Rzym”. Scena dziwna, nie- samowita, ale niepozbawio- na specyfiki nastrojowej. Reżyser przedstawienia łódzkiego skreślił tę scenę, zapewne nie z powodu bra- ku odpowiednich lichtarzy, przypuszczalnie uznał ją za nielogiczną, ponieważ pierwszym odruchem za- bójcy jest maskowanie zbrodni i ucieczka, a nie szukanie efektów.

Nie jestem zwolennikiem wszelkiego unowocześniania, ułogiczniana tradycyjnych oper. „Tosca” powstała w okresie „fin de siecleu” a wówczas tego rodzaju dres- zcze sensacji były szalenie modne. Uważam, że dzieło sceniczne, należy realizować zgodnie z „duchem epoki”. Na parę lat przed wojną Dołycki w operze war- szawskiej „ułowiczył” „Fausta” Gounoda: wypę- dził diabła sprzed kościoła, przeniósł arię z medalionem z aktu drugiego do prologu i dokonał szeregu innych zmian, całkiem uzasadnio- nych z punktu widzenia lo- gicznej konstrukcji wido- wiska. A jednak innowacja nie przyjęła się nawet na naszym gruncie i po dawne- mu oglądamy tradycyjnego „Fausta”.

Łódzka „Toskę” obejrza- łem w dwóch odsadach i z zupełnie różnymi wrażenia- mi wychodziłem z każdego z tych przedstawień. Drugie przedstawienie było pod każdym względem lepsze (oprócz scenografii) od pre- miery. Nieraz się zdarza, że premierowa trema działa paralizująco na możliwości wykonawcze. Dlatego też chyba słuszny jest zwyczaj urządzania premiery pras- owej po kilku przedsta- wieniach, kiedy wszystko się dotrze i oszlifuje. Ty- tułową rolę kreowały Zofia Rudnicka i Weronika Kuź- mińska. Rudnicka obdarzo- na jest ładnym materiałem głosowym, o szlachetnym

(Dokończenie na str. 7)

odgłosy 3



Złoty naszyjnik noszony przez wodzów

SKARB INKÓW

Skarb Inków od wieków wzbudza zainteresowanie i pobudza fantazję całych pokoleń. A nie jest to jakiś mityczny, legendarny skarb, lecz prawdziwy. Nie brak dowodów, iż był największym i najwspanialszym skarbem świata. Ale nawet w przybliżeniu nie możemy dzisiaj określić jego wartości, która szłaby zapewne w miliardy miliardów. Wolno jednak przypuszczać, iż złoto, ukryte przez Inków, wynosi tyle, ile cała wartość złota wydobytego w kopalniach peruwiańskich pomiędzy XVI i XIX stuleciem. Historia tych niezmiernych skarbów, daje się właściwie streścić w kilku słowach. Oburzeni zachłannością hiszpańskich „conquistadores” Inkowie ukryli swoje bogactwa tak doskonale, że nikt dotąd nie trafił na ich ślad. Dwa największe skarby Inków znajdują się prawdopodobnie w Cuzco (Peru) w boliwijskiej części jeziora Titicaca.

* * *

W roku 1524 Huan Capac, dwunasty władca Inków, rozdzielił królestwo między swych dwóch synów: Huascar, syn prawowity, zasiadł na tronie w Cuzco, zaś Atahualpa, jego przyrodni brat otrzymał ziemie dookoła miasta Quito. Z tego podziału wynikała bratobójcza walka, w ciągu której Atahualpa zwyciężył Huascara i ogłosił się panem całego królestwa (1532 r.).

W tym właśnie roku Franciszek Pizarro wyruszył na podbój królestwa Inków.

15 listopada 1532 Hiszpanie podeszli pod miasto Cajamarca w północnej części kraju. Podstępem hiszpański awanturnik zdołał wziąć do niewoli „Króla Słońca” — Atahualpę.

Dla odzyskania wolności Atahualpa zaofiarował Hiszpanom okup, który określił w następujący sposób: „Chcecie złota i srebra? Mogę wam dać tyle złota, ile zmieści się w moim więzieniu na wysokość 9 stóp od ziemi. Mogę wam do tego dodać tyle srebra, ile trzeba do zapełnienia sąsiedniej komnaty”.

Więzienie Atahualpy miało wedle Xeresa, sekretarza Franciszka Pizarra następujące wymiary:

17 stóp na 22, czyli 5,50 m na 7 m — mówiąc inaczej, Atahualpa oferował jako wykup 105 m sześciennych cennego kruszcza.

Czy mógł rzeczywiście dotrzymać słowa? Pizarro nie wątpił w to ani przez chwilę. Wiedział, iż władca In-

ków oprócz swoich dysponował również fantastycznymi skarbami złota i kosztowności znajdującymi się w Cuzco.

Hiszpan zgodził się na warunki swego więźnia. Wysłannicy wyruszyli w głąb kraju, aby zebrać i odstawić okup.

18 czerwca 1533 po stopieniu złota i srebra, Hiszpanie rozdzielili pomiędzy siebie zdobycz. Dokładnie zważony i spisany okup Atahualpy wynosił:

1.526.529 pesos de oro (ok. 4.500 kg złota), 51.610 monet srebrnych (ok. 12.900 kg srebra).

Mimo wspaniałego okupu Król Słońca nie miał długiego życia. Karawany wiozące złoto napływały coraz rzadziej. Hiszpanów niepokoiła myśl o burzących się wojownikach, którzy pragnęli uwolnić swego władcę. Tak więc 3 sierpnia 1533 ostatni król Inków zginął z ręki najeźdźcy hiszpańskiego.

Jednakże okup Atahualpy i tragedia w Cajamarca nie mają nic wspólnego z tzw. „skarbem Inków”. Wiadomo bowiem, iż skarb ten składa się nie ze sztab czy monet złotych, lecz z przedmiotów sztucznie cyzelowanych, rzeźbionych, artystycznie wykonanych i zdobionych drogimi kamieniami.

Tego właśnie skarbu, przedstawiającego nieocenioną artystyczną wartość, Hiszpanie w ogóle nie znaleźli. Pisze o tym Pedro Pizarro, rodzony brat wielkiego konkwistadora.

„Opiszę teraz to, co znaleźliśmy wkraczając do Cuzco... Pomiędzy innymi była tam głowa ze złota i Indianie powiedzieli nam z goryczą, iż przedstawia ona założyciela królestwa Inków.

Widzieliśmy też kraby ze złota, wazy sztucznie zdobione, węże, pająki, jaszczurki, dzikie koty i inne zwierzęta. Wszystko to znajdowało się w jednej grocie w pobliżu Cuzco.

Jeden z Indian powiedział nam, iż w grocie w pobliżu Villaconga ukryte są złote płyty, którymi były ozdobione ściany pałacu Huascara. Jednakże w parę dni po wyjawieniu nam tej tajemnicy, informator nasz zniknął bez śladu. Wogóle Indianie tak poukrywali te wszystkie skarby, że nie sposób do nich dotrzeć. Właściciele kazali swojej służbie zanieść skarby gdzieś w pobliże upatrzonej kryjówki. Następnie przez ostatnią część drogi inni Indianie nieśli te paki z kosztownościami. Potem zakopywano skarby, a tragarze na rozkaz swych panów popelniali

bez sprzeciwu samobójstwo, rzucając się w przepaść lub wieszając na drzewie. Tak więc nikt nie zna kryjówek i tylko cud może nam wskazać drogę do bezcennych skarbów, które są ukryte w ziemi tego kraju”...

* * *

Świątynia Słońca w Cuzco była najslawniejszą świątynią wieku XVI. Wznosiła się na południe od miasta, nad samą rzeką Guaatnay, w pobliżu świętego ogrodu Curinancha...

Jezuita, historyk hiszpański — pater Cobo, który mieszkał w Peru i Meksyku na początku XVII wieku donosi, że w Curinancha znajdowały się bezmierne ilości złota i srebra. Murzy kaplicy boga Słońca wyłożone złotymi płytami, a wszystkie przedmioty kultu sporządzone z masywnego złota.

Inny hiszpański kronikarz Cieza de Leon pisze w 1540 roku:

„Duża część murów tej świątyni jest złotymi płytami. Dach oparty jest na złotych belkach. Postacie bóstw, wazy i wszystkie naczynia są ze szczerzego złota”.

Tyle o samej świątyni. A oto co wiemy o świętym ogrodzie z opowiadania innego hiszpańskiego kronikarza Garcilaso de la Vega:

„...najcudowniejsze były całe pola kukurydzy, z korzeniami, kwiatami i kolbami, zrobione ze złota i srebra, i kunsztownie ze sobą połączone. Także masa dużych i małych zwierząt, jak króliki, myszy, jaszczurki, żółwie, matyle, lisy i dzikie koty — wszystkie ze srebra i złota.

Indianie ukryli większą część tych bogactw, kiedy tylko poznali bezdenną zachłanność Hiszpanów. Ukryli je tak doskonale, że dotąd nie można ich odnaleźć

i nio myślę, aby zostały kiedykolwiek odnalezione. Sami bowiem Indianie nie znają już dzisiaj starych kryjówek. Ich przodkowie nie przekazali synom tych wiadomości z obawy, by święte przedmioty nie służyły komu innemu, jak władcy, dla którego były przeznaczone...”

Zaginął też słynny złoty sznur długości 350 kroków (około 200 metrów), grubości męskiego ramienia, który został zrobiony na rozkaz Huana Capaca dla uczczenia narodzin Atahualpy...”

Opierając się na tym, co wiemy z dawnych tradycji Inków, wolno nam przypuszczać, iż skarby świętego ogrodu Curinancha ukryte są gdzieś w podziemiach fortecy Sacsahuaman, na północ od Cuzco.

Legenda głosi, iż niegdyś dwóch młodych chłopców zbłądziło w podziemnych korytarzach tej fortecy. Po trzydniowej wędrówce wyszli opodal obecnego opactwa San-Domingo w miejscu, gdzie niegdyś stała świątynia boga Słońca. Jeden z młodzieńców trzymał w ręku szczerozłotą, cudownej roboty kolbę kukurydzy...

Jednakże dotąd nikt nie odnalazł wejść do podziemnego labiryntu fortecy Sacsahuaman.

* * *

Nieprzebrane ilości srebra i złota spoczywają też w głębinach jeziora Titicaco, które jest rodzajem śródziemnego morza o długości 220 km. Ciągnie się wzdłuż granicy Peru i Boliwii, na wysokości 3919 m.

Na jednej z wysp jeziora Titicaco koło r. 1100 Manco Capac, pierwszy władca Inków, przeżył wielkie objawienie. Bóg Słońca powierzył mu ważną misję. Titicaco stało się wówczas miejscem świętych pielgrzymek Indian. Na wyspie zbudowano wspaniałą świątynię, której ściany były wyłożone złotymi płytami. Każdy Indianin przynajmniej raz w ciągu swego życia musiał odbyć pielgrzymkę do świą-



Złoty Totem Inków

tyni Słońca i złożyć tam złotą ofiarę.

Garcilaso de la Vega zanotował: „Inkowie zbudowali tę cudowną świątynię, pokrytą od góry do dołu złotem. Rokrocznie ze wszystkich prowincji napływały bogate ofiary dla boga Słońca — piękne przedmioty ze złota i srebra”.

Inny kronikarz stwierdził na podstawie opowiadań kapłanów świętej wyspy, że bryły złota i srebra, jakie były tam złożone, wystarczyłyby na zbudowanie nowej świątyni ze szlachetnych kruszców, bez użycia kamienia lub drzewa.

Pewne jest więc, że na wyspie znajdowało się złoto we wszystkich postaciach: płyty, bryły, rzeźby, artystyczne cyzelunki. Coż więc stało się z tymi skarbami?

Kronikarze twierdzą zgodnie, iż kapłani słysząc o najeździe Hiszpanów, wrzucili wszystkie skarby w głąb jeziora Titicaco. A głębokość jeziora osiąga miejscami 185 m...

* * *

Dzisiaj, w 400 lat po śmierci Atahualpy, znajdują się wciąż jeszcze ludzie, i to ludzie poważni, którzy urządzają wyprawy w celu odnalezienia skarbu Inków.

W sierpniu 1949 r. ekspedycja pod kierownictwem pułkownika peruwiańskiego Juan Heysen wyruszyła na poszukiwanie Angayra. Jest to miasto, w którym, wedle legendy, panował król tak bogaty, iż co rano od stóp do głowy posypywał się złotym pudrem. Po miesiącu uciążliwego marszu pułkownik dotarł do celu. Powinien był znaleźć, jeżeli nie skarby królewskie, to co najmniej bogate kopalnie złota. Tymczasem znalazł tylko... Indian, którzy nigdy jeszcze nie widzieli białego człowieka.

W kwietniu 1956 r. Angli-

cy Sebastian Snow i Matthew Beaumont wyruszyli na poszukiwanie miasta, położonego w Andach peruwiańskich, gdzie miał być ukryty jeden ze skarbów.

Jednakże i oni nie natrafili na ślady kryjówki.

Być może, iż kiedyś odczytanie jakichś niezrozumiałych dotąd hieroglifów ujawni miejsca ukrycia wspaniałych skarbów Inków. Może zresztą jakiś wędrowiec całkiem przypadkowo trafi na wejście do tajemniczej kryjówki. Nie tak jeszcze dawno, odnajdywano w Peru starodawne siedziby Inków, o istnieniu których nikt nie wiedział. W kraju, gdzie sprawy dziwne były częścią dnia codziennego, nie ma rzeczy niemożliwych...

Opracował
J. P.

Sprostowanie

Chciałem pochwalić stołówkę na Dietetycznej a wyszło dwuznacznie ma być —

Na ulicy Zielonej jest świetna stołówka Podwójna tu porcja, choć miejsca połówka.

Proszę o łaskawe umieszczenie sprostowania.

Jan Izidor Sztaudtynger

odqtoSy 5



Jedno z bóstw Inków

(Dokończenie ze str. 3)

brzmieniu, ale w jej śpiewie brak jest wykończona linii melodycznej. Weronika Kuźmińska przejawia znacznie większą rutynę wokalną i sceniczną. Ładnie zwłaszcza wypadła zaśpiewana przez nią słynna modlitwa Toski. Obie wykonawczynie zbyt jednostronnie aktorsko potraktowały postać tytułowej bohaterki.

W charakterystyce Florii Toski, słynnej artystki śpiewaczki oprócz rysów zadzwości i tragizmu, muszą występować też cechy wielkoświatowej kokieterki. W



ujęciu naszych artystek brakło właśnie owej cechy stanowiącej drugą naturę każdej piękności. Pamiętajmy, że damy owych czasów nawet przed wejściem na gilotynę różowały się i pudrowały, nie rezygnując z kokieterii do ostatnich sekund życia.

W partii Cavaradossiego wystąpili Romuald Spychalski i Tadeusz Kopacki. Wydaje się, że z większym sukcesem śpiewał Kopacki. Jego głos czysty, równy — zwłaszcza w średnicy posiada da klarowność i ładną barwę. Najpopularniejsze arie „Toski” — przed egzekucją — zaśpiewał Kopacki z dużym odczuciem, co spotkało się z gorącym aplauzem publiczności. Bardzo również dobrze zaśpiewany został ostatni duet z Kuź-

mińską. Spychalski był jednak zdecydowanie lepszy aktorsko. Ale zarówno Kopacki jak i Spychalski — napawają optymizmem. Kryzys tenorów, nieobcy nawet wielkim teatrom operowym, nie dokucza dziś naszej bezdomnej operze.

Ponurą sylwetkę szefa policji rzymskiej Scarpil odtworzył Jerzy Artysz i Stanisław Heimberger. W ujęciu Artysza dominowała przede wszystkim siła i brutalność. Heimberger uwytknął rysy cynika, obaj jednak, moim zdaniem, nie przekazały nam pełnej wizji aktorskiej arystokraty, człowieka przebiegłego i wytwornego, który w sposób wyrafinowany szykuje zgubę kochanków. W wokalne interpretacji, w głosie Artysza jest twardość i nadmiar

dynamiki. Heimberger, śpiewak o cieplejszej barwie głosu, lepiej oddaje subtelność muzycznej frazy.

Igor Mikulin i Michał Marchut z równym powodzeniem odtworzyli tragiczną sylwetkę Angelottiego, trafną również w wyrazie dramatycznym.

W roli Spoletta wystąpili Jan Wodzyński i Roman Osiński, obaj nieźli głosow. Szkoda tylko, że Wodzyński niepotrzebnie skarykaturował w sposób zupełnie farsowy groźnego poplecznika Scarpil.

Scenografia Soboltowej jest stanowczo nieudana. Pod tym względem nie się nie zmienia na lepsze w Łódzkiej Operze. Wnętrze barokowego kościoła św. Andrzeja w Rzymie, w ujęciu scenograficznym So-

boltowej nie jest ani barokowe, ani monumentalne. Kilka rachitycznych kolumn i projekcja małego witrażu mogą wyobrazić jakąś kaplicę cmentarną, ale nigdy wewnątrz wspaniałego kościoła rzymskiego. Albo jakże ubożna jest komnata pałacu Farnese. Spójrzmy na drzwi, one odgrywają specjalną rolę w akcji opery. Muszą to być wspaniałe odrzwia zdobne w boazerię. Pod tymi drzwiami Tosca załamuje się psychicznie słysząc jęki ukochanego. Te drzwi stanowią symbol przegrody między Florią i Mariem. Otóż w łódzkim przedstawieniu drzwi te są tak wąskie, że kiedy na przykład pani Kuźmińska opiera się o nie całą obfitością postaci, nie jesteśmy pewni o ich los.

W akcie III brakuje kopuły bazyliki św. Piotra, która stanowi integralną część scenografii „Toski”. Niezgodny z realizmem jest ubiór Cavaradossiego w I akcie. Malarz nigdy nie zbiera się do pracy wyztafirowany w jedwabie. Efekty świetlne są bardzo ubogie. Przy scenie egzekucji, która, jak wiemy, odbywa się o brzasku dnia, nie oglądamy różowiejącego nieba, co oprócz efektu wzrokowego określałoby i porę akcji. Łódzka inscenizacja „Toski” pod względem wizualnym nie daje żadnego zadzwolenia. Dekoracje nieraz tak denerwują, że wolałoby się oglądać przedstawienie na tle ciemnych kotar.

CZESŁAW ZAWADZKI



EDWARD SZUSTER

REELEKSJE MALKONTENTA

W brakach występujących w tej czy innej dziedzinie pracy naszego aparatu państwowego lub terenowego zaczyna się mówić dopiero wtedy, gdy ujawnią się one w formie dotkliwej. Wówczas to piętnuje się winnych i wysuwa całe funty zbawieniych rad, które mogą przyczynić się do uniknięcia podobnych kłopotów w przyszłości, lecz istniejącej sytuacji poprawić nie są w stanie.

Wyciągając z tego wniosek proponuję: pomówmy o sprawach, które choć na pozór w letnim sezonie nieaktualne, wymagają już teraz przemyślenia i takiego ustawienia aby za trzy, cztery miesiące poczęły rozwijać się z sensem i sprawnie. Pomówmy o problemach życia kulturalnego Łodzi w najszerszym tych słów znaczeniu.

Zacznijmy od szczegółu. Często wypadła mi przejeżdżać przez plac Dąbrowskiego, na którym to placu coraz wyraźniej rysuje się bryła Teatru Narodowego. Patrzę na ten wielki budynek z mieszanymi uczuciami. Cieszę się, że budowa postępuje naprzód; obecnie już Wojciech Pilarzki i Janusz Kłosiński nie mogą tam chadzać z wędkami na ryby, które rozmnożyły się w sadzawkach wypełniających doły fundamentowe. A jednocześnie nie mogą opędyć się od natrączywego pytania, które napastuje mnie za każdym razem na widok bryły teatru: co my z tym olbrzymem zrobimy?

Proszę nie sądzić, że ten przekorny niepokój wywołują we mnie wspomnienia rozmów z łódzkimi aktorami, którym wypadło występować w wielkiej sali teatru w Pałacu Kultury i Sztuki w Warszawie. Mówili co prawda, że na nic w świecie nie chcieliby na stałe grać w teatrze o podobnie kolosalnych rozmiarach, ale na pewno będą grali i będą radzi, że tylu widzów ogląda ich na wspaniałej scenie Teatru Narodowego. Było było — tych widzów — jak najwięcej. I właśnie tu zaczynają się moje wątpliwości.

Po prostu, nie jestem pewien czy my, mieszkańcy Łodzi, jesteśmy w stanie wykorzystać we właściwym, przyzwoitym stopniu, gmach nie daleki już ukończenia. Powiadacie państwo, że są to obawy bezdurne? No cóż, chętnie dam się przekonać, że nie mam racji, ale proszę o argumenty, a nie o go-

łostowne choć pełne żaru zapewnienia. Dla ułatwienia dyskusji i polemiki wykładam swoje karty.

O ile mi wiadomo, w żadnych planach nie przewiduje się, aby z chwilą oddania do użytku budynku Teatru Narodowego któryś z istniejących i pracujących dziś teatrów został zamknięty czy zlikwidowany. Jest nawet wręcz przeciwnie; niedawno był przebudowany Teatr Powszechny, trwają prace przy rozbudowie Teatru Nowego, rozpoczął się remont Teatru Jaracza, Operetka ma wkrótce otrzymać nowy lokal. Jednym słowem uruchomienie Teatru Narodowego wzbogaci Łódź o jedną nową scenę i o 1350 miejsc na widowni. Dotychczas na widowniach teatrów: Nowego, Powszechnego, Jaracza, „7.15” i Operetki mieliśmy tych miejsc około 2.800. Zobaczymy, proszę, jak te miejsca zostały w roku 1958 wykorzystane.

Otóż z materiałów będących w posiadaniu Wydziału Kultury MRN wynika, że na każde przedstawienie w roku 1958 przybyło o 33 widzów mniej niż to kierownictwo teatrów przewidywało. Przewidywania takie, jak wiadomo, opierają się na doświadczeniach z lat poprzednich, a nie są abstrakcyjnymi wymysłami; wspominam o tym, aby nie było między nami nieporozumień co do wartości danych, o których mówimy.

Wszystkie łódzkie teatry dramatyczne wraz z operą i operetką dały w ubiegłym roku w Łodzi 1820 przedstawień i na te przedstawienia przyszło o przeszło 67.000 widzów mniej niż planowano. Dlaczego? Czyżby repertuar 1958 roku był słabszy niż zwykle? Nie ma podstaw do takiego stawiania sprawy. Czyżby więc organizatorzy widowni mniej energicznie zabiegali o zapewnienie frekwencji? Na pewno nie, na tej kadrze można polegać jak na Zawiszy. A może ludzdom żyło się trudniej, mieli mniej pieniędzy niż w latach poprzednich? Wiemy dobrze, że ta hipoteza jest raczej bezpodstawna.

Tak, proszę państwa, fakt, o którym mowa nie wyjaśniamy bez przyjęcia innej hipotezy. Oto ona: twierdzą, że ilość ludzi, którzy uczęszczają do teatrów w Łodzi jest ograniczona i powiększa się bardzo powoli; twierdzą, że istniejąca dziś ilość miejsc na widowniach teatrów łódzkich niewiele zaspokaja potrzeby tych, którzy mają ochotę od czasu do czasu z



tych miejsc skorzystać, twierdzą wreszcie, że samo zwiększenie ilości miejsc na widowniach teatrów nie rozwiązuje problemu najważniejszego. Zagadnieniem, które trzeba widzieć i należy rozstrzygać jest przede wszystkim sprawa zaszczepienia nawyku chodzenia do teatru ludzdom, którzy jeszcze nawyku tego nie mają. Jeżeli tę sprawę zostawimy własnemu losowi, za pięć lat okaże się, że po uruchomieniu Teatru Narodowego i zwiększeniu ilości miejsc na teatralnych widowniach prawie o 50% — miejsc będzie po prostu za wiele. Nawet oddanie sceny Teatru Narodowego Operetce — jak postulują ironiści — kłopotliwej sytuacji nie zlikwiduje; po pierwsze pozostanie wówczas bez właściciela nowa, na 1200 miejsc obliczona scena Operetki — po drugie — nawet Operetce w roku 1958 zabrakło do wykonania planu prawie 10.000 widzów.

Warto się nad tym zastanowić już teraz, a nie za lat pięć, kiedy uruchomiony zostanie Teatr Narodowy.

Rzecz jasna, na problemie perspektyw rozwoju kultury teatralnej w Łodzi sprawa się nie kończy. Jestem zdania, że i w innych dziedzinach życia kulturalnego sytuacja przedstawia się — generalnie rzecz biorąc — podobnie jak w dziedzinie teatralnej. Żyją obok siebie w Łodzi dwie grupy mieszkańców: jedna, stanowiąca mniejszość, która czuje potrzebę uczestniczenia w życiu kulturalnym, bierze w nim mniej czy więcej aktywny udział, i druga — na pewno liczniejsza — która pozostaje w zasadzie poza obrębem życia kulturalnego, z tej przede wszystkim; przyczyną, że jak dotąd, nie jest jej to życie do szczęścia potrzebne. Sądzę, że takiej sytuacji nie można uznać za normalną i możliwą do utrzymania. Czyżby łódzianie sprzenie-trzydzyli się swym wielkim tradycjom, czyżby w murach naszego miasta zamarły tęsknoty do piękniejszego, pełniejszego życia?

JERZY WALEŃCZYK

BAŁUCKI RYNEK

(fragment poematu)



Bukiet rozprysły,
Zieleni się
Bałucki
Zalot niereczywistym.

Chłop z Aleksandrowa
Pod wiązką siana eos schował.

Mój lud,
Mój handlujący lud.

Koguty
Weszą krew.

Pantofle domowe,
Wesołe
Zdjęte z ziemi
Chodzą
Po podmuchu.

Sukienki gotowe warczą,
Kretony,
Jeszcze naciągną
Nogi, ręce, włosy.

Wyskoczcie, wyskoczcie z wieszaków
Marynareczki cągowce,
Spodnie,
Gesty bez siły
Topielcy przemysłów
Niewyczerpanych.
Wzory bez marzenia,
Puste wasze nogawki,
Kalekie rekawki,
Kiedy staćcie
Przed obiektywem
Fotokorespondenta „Times'a”.

Bałucki
Od ucha
Do ucha
Oj, danaż, moja dana
Panie Zenonie
Na kaca
najlepsza
śmietana.

Sadza
Na mankietach.
Riałym żołnierzyku,
O, la la.

SYLWESTER 59

Ach, orkiestro z Grzegorzewa,
Ach, wiwaty i foasty
Wiatr w miasteczku cienko śpiewa,
Los wybija nam dwunasta.

Nad ewiarteczką nieparzystą,
Witam czas nieodkupiony
Ponad pasmem Warty czystej
Prekursorki żalów, wrony.

Graj orkiestro z Grzegorzewa,
Polki stare, stare walce,
Nikt tu więcej się nie zjawi,
Chyba piękna noc w woalce.

Kim jest noc śledząca ze mną?
Na nic jeszcze nie jest późno,
Powiatowi łapótkarce
Czasom bluźnią, ludzdom bluźnią.

Mogę zostać tu na zawsze
I hodować cenny czosnek,
Kontraktować wiosnę, lato,
Patrzeć jak dzieciaki rosną.

Jeszcze widno w Komitecie,
Pary chodzą w kółko wzdłuż ścian,
Widzę tłumy przy bufecie,
Co, nie wpuszczają mnie, nie wpuszczają?

Tutaj nerwy uspokoję,
Nic nie będę re'ormował,
Może z życia powieść skroję
I obiekę w spokój słowa.

Graj orkiestro z Grzegorzewa,
Motło mojej ciepłej zimy,
Ach, sasiadka ma nam za zle,
Ze milczymy, nie tańczymy.



Wszyscy spojrzeli z pożądaną ciekawością. Każdy coś słyszał o lewium, lecz tylko nieliczni widzieli je. Dotąd znaleziono zaledwie kilkanaście gramów. Była to najrzadsza, najdziwniejsza i najbardziej nieuchwytna substancja w całym wszechświecie, pierwiastek z odwróconą biegunowością grawitacji. Nie przyciąga, lecz odpycha inne substancje. Upuszczony kawałek lewium nie upadnie na ziemię, ale uleci w przestrzeń.

— Miałam tego więcej — powiedziała Alina. — Niedawno sprzedałam resztę, aby zdobyć środki dla mojej wyprawy.

— Dla pani wyprawę? — powtórzył Nort. — Czyżby pani zamierzała wysłać wyprawę na Gromowy Księżyc celem poszukiwania złóż lewium?

— Ja sama chcę polecieć na Oberona z wyprawą — uzupełniła. — Dlatego poszukiwałam was, starych towarzyszy mego ojca. Ktoś musi poprowadzić statek.

Propozycja była tak nieoczekiwana, że John Nort poczuł się przez chwilę oszołomiony. Connor wydał radosny okrzyk.

— Znowu możemy lecieć w Kosmos! Miss pani przyniosła nam najlepszą nowinę, jaką kiedykolwiek słyszeliśmy!

— Mimo wszystko nie rozumiem, po co pani jest potrzebna garstka starych pilotów w naszym rodzaju dla dokonania tego przedsięwzięcia? — ze zdumieniem zapytał Wayty.

— Właśnie dlatego, że jesteście starymi pilotami — poważnie odpowiedziała Alina Lourelle. — Wiem, że jesteście najlepszymi astronautami na świecie. Wiem też, że zgodzicie się na moją propozycję. To złóż lewium może być warte miliony. Otrzymamy wreszcie środki na zorganizowanie pomocy

wszystkim chorem, bezradnym, starym astronautom, jacy pozostali jeszcze przy życiu. Tego pragnął zawsze mój ojciec.

— Jaka pani jest dobra i szlachetna, miss Lourelle — powiedział cichym głosem Nort. — Ale... obawiam się, że taka ekspedycja jest niemożliwa. Pani nie wyobraża sobie, co to jest Oberon! — To prawda — mruknął Wayty Johnes ponuro. — Wysoka temperatura atmosfery, potoki lawy, nieustające wyładowania elektryczne na tym Księżycu zabijały każdego, kto usiłował go zbadać. Nawet duża ekspedycja wysłana w celach zwiadowczych przez Kompanię nie powróciła stamtąd.

— Mój ojciec pozostawił wskazówki — zauważyła Alina. — Wiedział, gdzie można pomyślnie wylądować na Oberonie.

— Dosty słaba nadzieja — rzekł w zamysleniu Nort. — Nie przypuszczam, aby na Oberonie było jakiegokolwiek miejsce nadające się do bezpiecznego lądowania.

— Niech diabli wezmą — krzyknął Connor — to sposobność, aby znowu znaleźć się w Kosmosie! Czyż zrezygnujemy z tego?

Nort wzruszył ramionami: — Zapominasz, że nie posiadamy rakiety. Dlatego powiedziałem, że to jest niemożliwe.

— Ale ja już mam statek kosmiczny! — pospiesznie wirała Alina. — Sprzedałam kawałek lewium i kupiłam od Kompanii stary dwunastoosobowy krążownik. Dowód własności ma mi być doręczony dzisiaj wieczorem.

Następnie dodała niezdecydowanie: — Obawiam się, że to jest dość stara rakietka. Kursowała między Ziemią a Saturnem, aż wyszła z obiegu. Był to jednak jedyny statek międzyplanetarny, który mogłam niedrogo kupić i który jest w stanie dotrzeć do Urana.

— Jeśli w nim trzymają się kupy chociaż dwie płyty reaktora, to my doniesiemy go na rękach do Urana i z powrotem! — zawołał Connor.

— My z Wayty pojedziemy z panią, aby obejrzeć statek — szybko powiedział Nowton. — Ale jak z zaopatrzeniem? Jak z podwójną izolacją ter-

miczną, o której mowa w liście pani ojca?

— Najprawdopodobniej będzie można ją zdobyć w Mieście Księżycowym na Tytani — odrzekł Wayty.

Twarz Aliny spochmurnała: — Lecz na to potrzebne będą pieniądze. A ja mam ich już bardzo mało.

— Prosimy nie martwić się, my sami pomyślimy o tym, gdy już tam będziemy — zapewnił ją wesoło Connor.

— Polecimy pojutrze, prawda Johny? — zapytał Nort Stenny.

— Oczywiście, Stenny — łagodnie odrzekł Nort. — Pojutrze.

— Przygotuję swoją torbę — pospiesznie rzucił Stenny, kryjąc się głębiej w swoim kącie. — Będę gotów na czas.

— Bledny — mruknął stary Peters. — Myśli, że zabierzemy go ze sobą.

Wayty spojrział na starego:

— Ty przypuszczasz, że również polecisz?

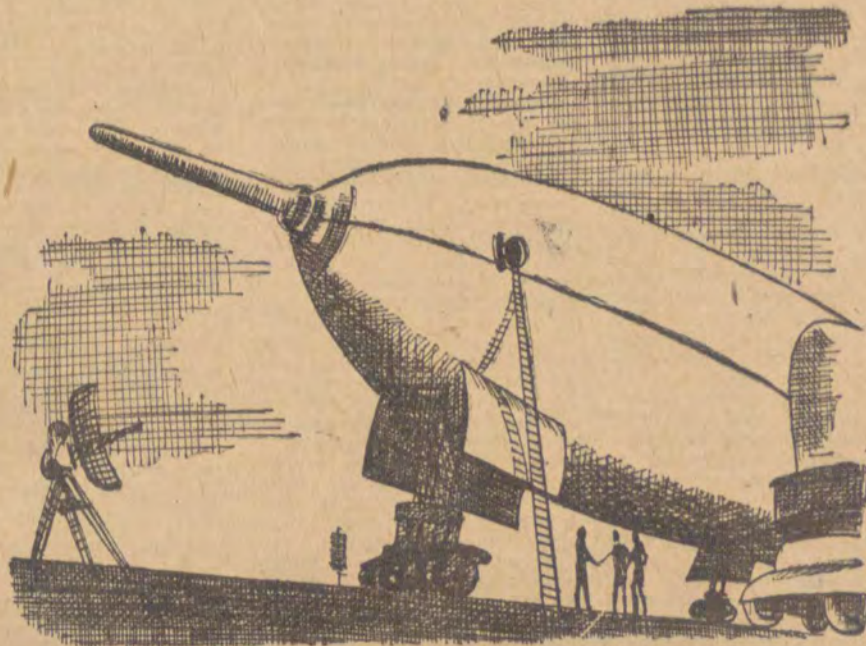
— Chciałbym wiedzieć, czemu nie! — wybuchnął Peters i jego wyplowiłe oczy rozbiły się. — Ja latałem, gdy wszyscy nosiliście koszuły w zębach, nie zapominajcie o tym! Przecież nie pozostawicie mnie tutaj!...

* * *

Zmierzch zapadał nad gwarną Killinstone Avenue, gdy Nort i Wayty z dziewczyną skierowali się do portu kosmicznego. Wkrótce doszli do stoczni.

Stocznia otaczał wysoki parkan; długie, metalowe baraki; stopy zbiorników na paliwo, tlen i wodę; zasieki dysz rakietowych; części cyklotronów i płyt kadubowych. Wartownik stojący przed bramą, ubrany w szary mundur Kompanii, poznał Alinę i przepuścił ich.

Podeszli do oddalonego doku, gdzie



stał dwunastoosobowy krążownik wielkich lotów. Na jego kadłubie widoczne były wgniecenia. Sterujące dysze wydawały się zużyte i niepewne. Na dziobie widniał napis: „Meteor”.

Weszli do środka i Alina z niepokojem śledziła, jak Wayty i Nort sprawdzali mechanizmy. Rozpoczęli od cyklotronów, uważnie wysłuchali ich pulsującego buczenia; sprawdzili sterowanie naciskając na dźwignie i pedały.

— Tak, mówiąc szczerze, to ta lodeczka niemało natrudziła się w swoim życiu, a jej cyklotrony numer trzy i numer pięć słabo nagrzewają — powiedział Wayty Alinie, gdy opuścili rakiety. — Mimo wszystko dowiedzie nas ona na Uran.

Alina odetchnęła z ulgą: — Cieszę się, że ten stateczek może odbyć lot kosmiczny.

Następnie wskazała na drugi kraniec stoczni:

— Tam idzie mister Carson, właśnie przez niego kupiłam ten statek od Kompanii.

Zbliżyli się do nich dwaj mężczyźni w szarych mundurach pracowników Kompanii. Carson był krępyim człowiekiem w średnim wieku. Towarzyszył mu młody oficer o przyjemnej powierzchowności.

Nort i Wayty drgnęli nie mogąc przezwyciężyć wstępu na widok znienawidzonych mundurów.

— Moim przyjaciółm podobal się „Meteor” — powiedziała Alina. — Wkrótce zabierzemy go stąd.

Carson pokiwiał głową:

— Niestety, miss Lourelle, obawiam się, że będziemy musieli unieważnić naszą transakcję. Nie mogę pani sprzedać „Metora”.

— Przecież otrzymał pan już czek za niego! — krzyknęła zdumiona Alina.

— Zwracam go, miss Lourelle. Ten oto gentleman, mister Filip Sydney, wyjaśni pani całą sprawę.

Filip Sydney, młody oficer Kompanii, zrobił krok naprzód. Na jego twarzy widoczne było zmieszanie.

— Mam polecenie z Zarządu Głównego, miss Lourelle — powiedział. — Dyrektor generalny unieważnił tę sprzedaż. Mimo to z radością damy pa-

ni nowy statek i załogę, jeśli podzieli się pani z Kompanią zdobytym lewium.

My wiemy, że pani leci po lewium, miss Lourelle, Kompania nigdy nie wierzyła pogłoskom o złóżach na Oberonie i płótkom o tym, że ojciec pani odkrył je. Jednak kilka tygodni temu sprzedała pani pewnej firmie kawałek lewium. Dowiedzieliśmy się o tym od razu.

— I wasza wspaniała Kompania niezwłocznie zdecydowała wnieść się w tę sprawę? — ostro zapytał Nort. — Czy tak?

Filip Sydney poczerwieniał: — To jest polecenie Zarządu Głównego i ja tylko wykonuję je. Jeżeli miss Lourelle odstąpi Kompanii osiemdziesiąt procent wszystkich znalezionych przez nią minerałów drogocennych, to my damy jej statek i załogę.

— Osiemdziesiąt procent?! — z niedowierzaniem krzyknęła Alina. — Przecież to jest oburzające! Nigdy tego nie uczynię.

— Obawiam się, że wówczas pani



nie otrzyma statku. Kupić go można jedynie od Kompanii, i pani wie o tym.

Wayty Johnes z pociemniała ze wściekłości potężną twarzą wystąpił naprzód zaciskając pięści:

— Ależ z pana jest brudny szczer... — Opanuj się, Wayty — przerwał mu Nort. — Ten facet jest tylko wykonawcą rozkazów.

Odwrócił się w stronę Aliny: — Niech pani zastanowi się lepiej nad jego propozycją. To jest, naturalnie, rabunek, lecz mimo wszystko może pani stać się bogata.

— Nigdy nie zgodzę się na to — kategorycznie zaoponowała Alina. — Przyjaciele mojego ojca są moimi współnikami i nigdy się ich nie wyrzeknę! — Odwróciła się purpurowa z gniewu.

Powracając powoli do starego hotelu cała trójka milczała przynębiona.

Na zakurczonym poddaszu wszyscy podbiegli do nich pełni napięcia.

— Widziałeś rakiety, Johny? — zapytał podniecony Connor. — Czy może docię do Urana?

— Jak z paliwem? — rzucił Hansen.

— Kiedy odlatujemy?

Serce Nort'a ścisnęło się, gdy opowiedział przyjacielom to co zaszło, spojrzął na ich twarze.

— Niech się pani nie przejmuję, miss — powiedział Connor do Aliny. — Nie powinna pani rezygnować z własnych spraw, aby nam dopomóc.

— Zrozumcie, że wprost głupio jest wdawać się w jakiegokolwiek umowy z Kompanią — oświadczyła Alina. — Znacnie przecież ich bandyckie obyczaje. Czy przypuszczacie, że podziela się ze mną, gdy już będą wiedzieli wszystko, co mogę im opowiedzieć. I gdy odczytam im list i notatki mego ojca?

— Przysięgam, że ona ma rację! — krzyknął Connor. — Pirać zasiadających w Kompanii, oszukują ją bez chwili zastanowienia. Ale cóż jeszcze może pani przedsięwziąć?

— Polecimy na Oberona po lewium, jak wynika z naszej umowy — oświadczyła kategorycznie dziewczyna. — I polecimy w mojej rakiecie. Oni sprze-

dali mi „Metora”. On jest mój. I ja w nim polecę.

Wayty potrząsnął swoją wielką głową:

— Nigdy nie wydadzą go pani. A jeśli poda ich pani do sądu, to będą prze-wlekali sprawę przez całe lata.

— Nie będziemy wydeptywać sądów — zaprzeczyła Alina. — Po prostu zabierzemy nasz statek, a w zamian pozostawimy czek i polecimy.

— Lecz przecież oni oskarżą nas o korsarstwo — zaprotestował Nort. — Oni!...

Zacął się. Spojrzawszy na pozostałych, dojrzał w oczach każdego z nich to samo nagle powstałe zdecydowanie.

— Oskarża nas o korsarstwo — mruknął — ale nas już nie będzie. Jeśli tylko zdołamy odlecieć dzisiejszej nocy... Paliwo należy załadować przed powstaniem alarmu. A cały sprzęt antytermiczny naberdziemy na Tytani.

I dodał: — Kompania podnieśli wrzask na cały System, aby nas zatrzymać. Ich stacje znajdują się prawie wszędzie.

— No, chciałbym popatrzeć, jak te żółtodzioby, których oni nazywają astronautami, będą próbowali nas zatrzymać — mruknął Hansen.

W KOSMOS.

— Trzeba pomyśleć o paliwie i apro-wizacji — mówił Nort. — Możemy po-brać paliwo, tlen i wodę z magazynów stoczni Kompanii, jeśli uda się nam wyłączyć sygnalizację alarmowa. Ale prowiant...

— Mogę zakupić cały potrzebny pro-wiant i dostarczyć go w nocy do stoczni — pospiesznie zaproponowała Alina.

— Więc niech będzie w nocy! — wy-buchnął olbrzymi Wayty. — Jakże zna-czenie może mieć kilku wartowników na drodze do naszego zwycięstwa? Rozkazuj nam, Johny!

dalszy ciąg nastąpi

**CO TO ZNACZY
NIEZWYKŁA?**

Jesteśmy w Technikum Rolniczym, w Blichu pod Łowiczem. Niezwykła ta szkoła daje uprawienia do wstępu na wyższe uczelnie, można po niej iść do pracy zawodowej w rolnictwie (P Z G S, kółka rolnicze itp.), można wrócić na swoje gospodarstwo w charakterze doświadczonego gospodarza. Co jest niezwykłego w tej szkole? Czy to, że panuje tutaj struktura szkoły zawodowej, w której uczniowie odbywają także solenne ćwiczenia praktyczne? Czy niezwykle jest widok młodej dziewczyny ubranej w kombinezon i krzającą się w oborze? Nie, nie zamierzam rozstrzygać sporu, w jakim kierunku winno się rozwijać nasze średnie szkolnictwo. Nie będę świadczył za szkołę zawodową, a występował przeciw ogólnokształcącej. Niezwykłość tej szkoły polega na czym innym. Nie wiem, czy zdają sobie z niej sprawę uczeń technikum, zdający w tym roku maturę.

OD KRÓLA STASIA...

Ale najpierw nieco historii. Proszę darować, lecz w tym wypadku muszę cofnąć się do Adama i Ewy. Nie potrzeba pomocy Lądoga, żeby wyjaśnić sobie znaczenie słowa „blich”. Ale proszę: blich albo blich, czyli blich. „Blich wielki piec osobnych domów składa: młyn albo folusz, pralnię, ługownik, mlecznik i magazyn”. Jest i przysłowie nowe: „wybielał jak na blichu”. Blicharzem nazywano wybielacza płócien. Skąd więc ta nazwa przyplątała się aż pod Łowicz? W tym miejscu przywołać musimy na scenę króla Poniatowskiego i nie tylko jego. Prymas Michał Poniatowski, który miał swój zamek w Łowiczu, założył tutaj fabrykę płótna. Akcjonariuszem też, obok prymasa i dwustu innych wielmożów, był sam król. Działo się to w okresie gorączki przemysłowej, która z Polski miała stworzyć drugą Holandię. Manufaktury sukienne rozdziły się jak na drożdżach. Robotnikami byli przeważnie poddani chłopci, głównie kobiety. Nie gardzono przymusową pracą sierot, że-

braków, włóczyń. Słynna była szkoła podskarbiego nadwornego Tyzenhauza, w której dziewczęta „z samej krnąbrności i placzu chorować musza”. W fabryce królewsko-prymasowskiej pracowało przeszło cztery tysiące robotników. „Blich” upada po powstaniu kościuszkowskim. Następnymi dziedzicami tej ziemi byli najpierw Prusacy, potem marszałek Francji Davoust (1807), po nim żona ks. Konstantego Joanna z Grudzińskich, z kolei rząd carski, wreszcie od 1918 państwo polskie. „Z dniem 14 lutego 1923 r. tytułem dzierżawy na użytek Szkoły Rolniczej zostaje oddana Łowickiemu Samorządowi Powiatowemu”.

BUDUJEMY MOSTY...

Proszę pozwolić jeszcze na jedno wspomnienie. Dotyczy ono pana Wacława Podwińskiego, byłego starosty łowickiego, który między innymi przyczynił się do założenia szkoły w Blichu. Daleki jestem od ironizowania na ten temat. Mam szacunek dla tych chłopów z Łowickiego, którzy stawali się o tę placówkę. Myślę, że warto by zorganizować kiedy spotkanie założycieli dawnej szkoły z młodzieżą dzisiejszego technikum. Można by wiele ciekawych rzeczy wtedy usłyszeć. Ale te sprawy na razie nas nie obchodzą. W związku z osobą starosty, chciałbym podchwycić bardzo ciekawy i „pouczający” rys.

Postuchajmy, jak pan starosta wspomina swoje pierwsze zetknięcie z „ludem” łowickim. „Na parę kilometrów przed Łowiczem psuje mi się samochód... ruszyłem pieszo w kierunku miasta. Wkrótce dogonił mnie długi łańcuch wozów. To poborowi jadą do Łowicza. Piękne, rosłe konie i piękne chłopcy. Starannie wygolone twarze o regularnych rysach, czarne, krótkie spencerki i pasiaste spodnie, wyglądają pięknie. Jadą poważni i młodzi, chłopcy jak dęby, w sile wieku. Przysiadłem się do nich i starałem nawiązać rozmowę, nie zdradzając mego urzędowego charakteru... Wtedy zapewne zapaliła się pierwsza iskierka mojej dla nich sympatii...”

Pomijamy fakt, w jakich to okolicznościach się działo, że był to rok dwudziesty i pan starosta miał podstawy do różnych wzruszeń, zwróćmy jednak uwagę na te „pierwsze iskierki mojej dla nich sympatii...”

...DLA PANA STAROSTY

Dwa konie ciągną jeden wóz, ale zdarza się, że ciągnie tylko jeden, drugi zaś umleje — nie zwalnia postronki. W wy-



padku starosty i chłopów łowickich nie jest to najlepsze porównanie. Prędzej można by mówić o furmanie i o koniach, które ciągną i wóz i furmana. Są to rzeczy znane i nie myśleć rozchodzić się teraz nad strukturą społeczno-gospodarczą Polski międzywojennej. Sądzę, że dobrze zrozumiał intencje starosty ów chłop z biłostockiego, który w roku trzydziestym siódmym pisał: „Zrezygnuję z mojej ziemi — że są tacy, co mają po dziesięć hektarów gruntu i żyją wciąż w niedostatku, bo już od nowego roku mają przedwówek, a budynki w ścianach i dachach dziurawe. Są jednak i tacy, którzy mają po dwa hektary ziemi i żyją dostatnio... Tak to wszystko zależy od pracowitości i zaradności gospodarza, nie zawsze zaś od jego majątku...” W roku 1933 obchodzono uroczystości dziesięciolecia szkoły. Ówczesne sprawozdanie mówiło: „68,5 proc. uczniów pochodzących ze zdrowych, powyżej 10-morgowych gospodarstw, a z tych 57,5 proc. z gospodarstw powyżej 15-morgowych, dawało pewność, że wysilek państwa i powiatu zmierzających do przygotowania sobie nowoczesnego rolnika, zostanie w znacznej mierze zrealizowany...” „Uczniowie ci nie na czele, ale wśród gromady, związani z

nią obyczajami i pracą, poprowadzą wieś do postępu”.

Oczywiście, jest to szkoła chłopska, szkoła w której rodzi się wzór kulturalnego oświeconego chłopca. Ale wciąż w tym schemacie, który głoszą podręczniki szkolne, że chłopcy „zapopatrują miasta i osady fabryczne w żywność, zapędzają szeroką wojską najzdrowszym i najwytrwalszym żołnierzem, dostarczają innym, wyżej postawionym grupom społecznym dzielnych pracowników”.

CZY CHŁOP MA DWIE DUSZE?

Pytanie już przestarzałe, ale można je w niektórych wypadkach postawić nie obawiając się zarzutu odsmażania starych rzeczy. Zwłaszcza tutaj, w Blichu, gdzie na każdym kroku nasuwa się tyle wspomnień. Jest majowe popołudnie, chmury, które rano wisiały nad ziemią, rozeszły się, i wszystko co nas otacza, nabiera z każdą chwilą nowej barwy, nawet cienie stają się kolorami. Ręka uzbrojona w ołówek gotowa jest zapisać najbardziej pozytywne wnioski. Ale trzeba uważać, bo

w tej zageszczonej atmosferze ładu i spokoju łatwo jest popaść w taniutki optymizm...

Wieczorem spotykamy się z młodzieżą. Układamy ankietę dla maturzystów. Pytamy w niej o gospodarstwo rodziców, o zamiary po ukończeniu technikum, o uwagi krytyczne na temat organizacji gospodarstw rolnych w rodzinnej wsi. Odpowiedziało 18 chłopców i 20 dziewcząt. Wiek — przeważnie dziewiętnaście lat. Uczniowie pochodzą z gospodarstw pięcio- i sześci hektarowych. Najmniejsza działka — dwadzieścia arów. Największa: szesnastcie hektarów. Jedna dziewczyna pochodzi ze spółdzielni produkcyjnej.

Po ukończeniu technikum do domu powróci tylko jedna osoba — właśnie ta dziewczyna z szesnasthektarowej gospodarki. Na wyższe studia udaje się 16 osób, w tym na kierunki nie związane z rolnictwem, jak na Akademię Wychowania Fizycznego i prawo — siedem. Jeden chłopiec przejawia zamiłowanie do literatury, ale pójdzie do szkoły oficerskiej. „Zamilowanie mam do literatury, a ponieważ warunki materialne mam bardzo ciężkie, pójdę do szkoły oficerskiej, a potem w miarę możliwości studiować będę filologię polską.” Do pracy zawodowej (przemysł rolny, kółka rolnicze, PZGS, rada narodowa, leśnictwo) wybiera się 21 uczniów (10 dziewcząt i 11 chłopców). Nie wierzę w duchy! Nie bierzcie dostownie tej statystyki. Nie dlatego, że byłaby fałszywa. Zostało powiedziane, że na wieś powraca tylko jedna dziewczyna. To jest nieprawda. To jest nieprawda mimo pozorów, które świadczą przeciwko naszemu wnioskowi. Mimo wypowiedzi uczniów, które wykazują że na decyzjach młodych ludzi, opuszczających na razie rodzinną wieś, ważną rolę podobnie, jak przed wojną motywów. Pisze dziewczyna: „Po woli rodziców brat ma objąć ziemię”. „Mam liczną rodzinę — zwierza się inna — nie mam co robić w domu”. „Pięciohektarowe gospodarstwo nie zapewnia utrzymania rodzinie”. „U nas jest dziesięć osób w domu, ojciec ma tylko cztery hektary, więc z rachunku wynika, co mam robić ze sobą”. Jedyna tutaj przedstawicielka młodzieży spółdzielczej notuje: „Wprowadzenie mechanizacji do gospodarstwa uspołecznionego wymaga mniej rąk do pracy, więc rodzice mogli z mnie zrezygnować i posłać do szkoły”. Brzmi to nieco sztywnie, ale kto sobie przypomni powiedzonka naszych ojców przed wojną, że „z rysunków chleba jeść nie będzie, a on mnie potrzebny do krów i koni”, ten nie zdziwi się tej wypowiedzi.

Stwierdzamy odwieczną prawdę, że w gospodarce ojców nie są zainteresowane wszystkie dzieci. Najwyżej jedno. I że szkoła w Blichu nie produkuje „zdrowych” kierowników rodzinnej parceli. Ale przecież nie tutaj leży prawda.

„Wieś przyszłości — piszą uczniowie — to elektryfikacja i wszystkie udogodnienia związane z kulturą życia codziennego... Aby ludzie mieli zapewnione życie kulturalne i byli odciążeni od ciężkich prac, które może wykonać maszyna...” „W przyszłości pragnęłabym widzieć wieś zelektryfikowaną, gdzie po ciężkiej, wyczerpującej pracy rolnik mógłby spokojnie zasnąć przy telewizorze i uprzyjemnić sobie wolny czas. Prócz rozrywek kulturalnych moim pragnieniem jest zmechanizowanie pracy, to jest zastosowanie wszelkich maszyn do pracy... Aby te wszystkie moje życzenia były ziszczalne rolnicy powinni zgrupować się w spółdzielni produkcyjnej, gdzie byłaby możliwość zastosowania maszyn i urządzeń technicznych”. „Wieś przyszłości... Wieś, w której każdy gospodarz miałby radio, telewizor, motocykl. Chłop nie może odczuwać kompleksu niższości przed inteligentem...”

Ta młodzież nie ucieka ze wsi. Powraca do niej różnymi kanałami. Na 38 dziewcząt i chłopców zaledwie jedna dziewczyna zostanie gospodynią na swoim gospodarstwie. Ale inni będą pracować na rozmaitych placówkach nie oderwanych od wsi, lecz przeciwnie związanych z nią najściślej więzami gospodarczymi, kulturalnymi i politycznymi. Decyzje dziewcząt i chłopców, ich marzenia o wsi zelektryfikowanej, zmechanizowanej, zorganizowanej na nowych podstawach (duży procent młodzieży będzie pracować w kółkach rolniczych) powiadają wyraźnie, jakie to realne siły społeczne kształtują dalszy bieg życia naszych młodych bohaterów.

„Droga moja była tym cięższa — zwierza się przedstawiciel Młodego Pokolenia Chłopców przed wojną — że czy widziały piękniejsze drogi, piękniejsze wokół siebie i ich wędrowców, które dla nas, dzieci chłopskich nigdy nie były dostępne...” Różnica w postawie i karierze naszego, współczesnego młodego pokolenia, a przedwojennego nie polega chyba na mechanicznym ułatwieniu zdobycia tych „pięknych dróg”.



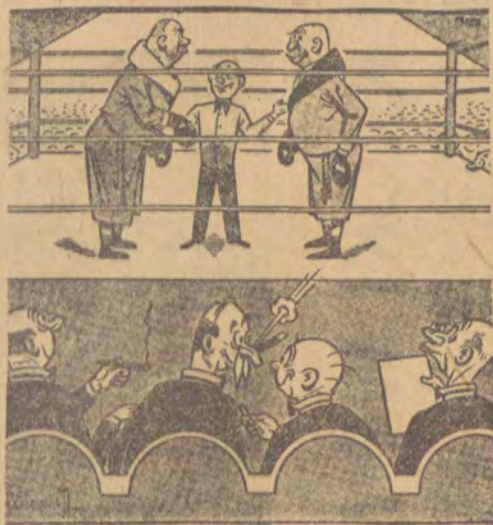
Czy chłop ma dwie dusze?

Tekst: TADEUSZ PAPIER

Zdjęcia: WACŁAW BILIŃSKI



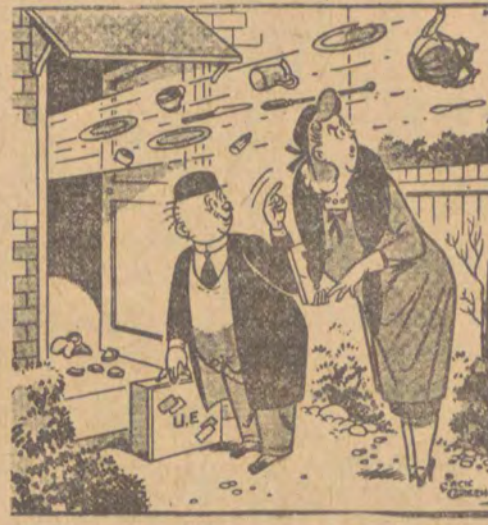
str. **10** **odgłosy**



— To dopiero będzie walka! Obaj kochają tę samą kobietę...



— To rzeczywiście bardzo duży hotel. Nie wiem nawet, na którym piętrze mieszkamy...



— Mówiłem ci, że państwo Brown mieszka jednak tutaj. Nie poznajesz serwisu, który dostali od nas w prezencie ślubnym?



— Do diabła! Czy przyszliśmy tu rabować, czy na głupią zabawę?...

Współpracownicy znanych i zasłużonych piśm humorystycznych, „Puncha”, „New Yorkera”, „Le Rire” — nie zawsze są jednocześnie humorystami najpopularniejszymi w swoim kraju. Zarabiają często krocie, ich rysunki są omawiane przez poważnych krytyków — ale z popularnością bywa różnie. Bo dochodzi tu jeden ogromnie istotny czynnik: liczba odbiorców.

„Daily Mirror”, brytyjska gazeta o największym na świecie dziennym nakładzie, szczyty się imponująca i okrągła liczbą pięciu milionów czytelników. I tytuł właśnie Anglików ogląda codziennie uroczę żarty rysunkowe Jacka Greenalla. Pięć milionów! Rzecz ciekawa, ogromna popularność bynajmniej nie obniżyła poziomu tych żartów. Greenall uprawia cieniutki dowcip, niezadko oparty na absurdzie (vide żarty o bandytach i aniołku w hotelowym oknie). Czytelnicy, podkreślam — czytelnicy absurd, trafia zresztą świetnie w upodobania bry-

tyjszczyków, pasjonujących się opowiastkami o mądrych, gadających psach i koniach.

Jedno może dałoby się zarzucić Greenallowi — nie najwyższej klasy rysunek, przypominający mocno drugorzędne „comicsy”. Ale taka jest już konwencja gazet angielskich, gdzie nawet pojedyncze żarty, często wysokiej klasy — rysowane są na wzór „comicsów”.

We wszystkich dowcipach Greenalla — łatwo to zauważyć — przewija się zawsze ta sama korpulentna sylwetka wyjątkowo Eustachego. Ta ironicznie trochę potraktowana postać starego pana uosabia kilka cech przeciętnego Anglika — flgme, sybarytizm i... wyrafinowane poczucie humoru...

Jack Greenall ma dziś 45 lat, mieszka z żoną w małej miejscowości w hrabstwie Surrej. J-ert.

JACK GREENALL

Ambona satyryka

Czy śpiewa pan ramansy cygańskie?

Ze nikt nie jest prorokiem w swojej ojczyźnie, tego dowiódł zorganizowany przed dwoma tygodniami występ autorski „Literaci na tysiąc szkół”. Urządzono go w sali Klubu Międzynarodowej Prasy i Książki i łącznie z jedenastoma występującymi literatami zgromadził on dwadzieścia kilka osób,

Taka słaba frekwencja mogłaby świadczyć o niepopularności występujących autorów, gdyby nie fakt, że każdy z nich oddzielnie na wieczorach urządzanych w świetlicach może się poszczycić liczbą co najmniej trzydziestu słuchaczy. A więc o kilka głów więcej niż w masówce autorskiej,

Cóż więc spowodowało ten bojkot? Cena karty wstępu raczej — nie, skoro bilety do operetki czy na występ bokserski kosztuje dwadzieścia złotych i widownia wybita jest po brzegi. Lokal raczej — nie, skoro występ krakowskiego paryżanina Duroche-Kamińskiego zwabił trzy razy więcej łodzian niż jedenastu autorów, wśród których bliznę nazwiska takich sędziwych synów Łodzi jak Piechał i Tymofiejew, i takich głowaczy łódzkiej satyry jak Huszcza, Safrin i niżej podpisany... Cóż więc zdecydowało o tej sromotnej porażce autorów? Dreńwe zorganizowanie imprezy, wysięg pokoju, mecz, odbywający się o tej samej godzinie, co występ?

Nie moją jest rzeczą analizować przyczyny tego fiaska... Przypominam sobie wspólny występ autorski Zofii Nalkowskiej, Dygata, Ważyka, Brandysa, Jastruna, Żulawskiego etc, etc, który w Łodzi nie odbył się w roku 1946, ponieważ te nazwiska zaciekały tylko kilkunastu łodzian.

No, tak, ale był to rok 1946, łodzianie już nie czytają w tramwajach, na stojąca, „Wicka i Wacka”, nie cieszą się wściekłym powodzeniem także imprezy humorystycznej hali sportowej z publicznym skubaniem... kury, o których recenzent „Głosu Robotniczego” pisał

Po tym, co wyżej powiedziałem, już nie cieszę się tułipanami, otrzymanymi miesiąc temu od pewnej uroczej słuchaczki Studium Nauczycielskiego po odczytaniu w świetlicy kilku utworów. Kwiaty otrzymałem nie jako technik ludzkich dusz, lecz tancerz zorganizowanej w ramach ówczesnego mego występu potańcówki. Amen.

jako o wzorcu ludowego humoru i zachęcał do naśladowania ich. Dziś czytamy i słuchamy bardziej subtelnych utworów,

Jaką marnością i próżnością jest sława tego świata, nie trzeba o to zapytywać znanego z wielkich stwierdzeń i zapytań — biblijnego Salomona. Wystarczy przypomnieć przedwojennego konduktora tramwajowego, który w sprawie przypadkowego rozbitcia szyby tramwajowej nie poznał autora „Rozdziej nas kruki, wrony” — i policjanta, który spisując protokół, pytał sprawcę czynu: Imię i nazwisko? — Stefan Zeromski. — Gdzie pracuje? — Literat.

O tej marności sławy tak pisze Jan Brzechwa:

„Pisarz do niedawna jeszcze inżynier dusz ludzkich, a obecnie jedno z kółłek (zębatych) w aparacie upowszechnienia kultury — to istota nieznaną”.

Ze tak jest, udowadnia Brzechwa w sposób drugo- gący: „Do pensjonatu, w którym mieszkalem, przysłała kierowniczka szkoły, prosząc, abym wziął udział w spotkaniu z dziatwą szkolną... Spotkanie przygotowane było bardzo starannie, dostałem album z rysunkami dzieci, a gdy po odczytaniu utworów zwróciłem się do sali prosząc o zadawanie mi pytań, jedna z dziewczynek podniosła dwa palce, a potem wstała i zapytała: — Proszę pana, a jak się pan nazywa?”

„Podczas wieczoru autorskiego w Poznaniu (było to w szkole dla dorosłych) wstał pewien młodzieniec i zapytał z końca sali z kresowym akcentem: — Proszę pana, a czy umie pan śpiewać ramansy cygańskie?”

rejestrowani w mieście aktorzy (i aktorki!) według porządku alfabetycznego, w czasie pokazów ma przygotować orkiestra, do której zorganizowania zobowiązuje się Łódzki Oddział Zw. Literatów.

7. Celem uniknięcia dalszych kłopotów z plastikami, zarządza się przymusowe ostrzyżenie wszystkich posiadanych przez nich pedzli, winni zatajenia pedzli w stanie nadającym się do użytku będą karani wysokimi grzywnami,

Zarządzenie nr 1

W związku z często rozlegającymi się utyskiwaniami niektórych obywateli miasta Łodzi na marazm intelektualny w związkach twórczych, niski stan czytelnictwa, szpetotę miasta, ubóstwo form rozrywkowych i zanik pasji polemicznych oraz w związku z przejściem na czas letni — niniejszym zarządza się:

1. Wzniesienie czterech pomników na kółkach, aby mogły być kolejno eksponowane we wszystkich dzielnicach miasta, nie wyłącza- jąc peryferii.

2. Podawanie w kawiarniach raz w tygodniu autentycznej kawy i herbaty,

3. Powołanie specjalnej komisji z zadaniem opracowania melodii i tekstu hejnału, który następnie będzie regularnie wykonywany z najwyższej kondygnacji wieżowca.

4. Trójgraniaste kapelusze dla laureatów nagród artystycznych (sposób i dni noszenia tych kapeluszy uregu- luje dodatkowe zarządzenie wykonawcze, którego wydanie zleca się Wydziałowi Kultury P.R.N.).

5. Napełnienie wodą wszystkich stawów w parkach, a także przerwienie nad nimi romantycznych mostków z drzewa lub materiałów zastępczych.

6. Urządzenie niedzielnych pokazów pływackich w Łągiewnikach, w których będą brać udział wszyscy za-



polemicznych zarządza się zorganizowanie Estrady Polemiki, na której każdej srody (lub soboty!) będą ze sobą publicznie dyskutować redaktorzy miejscowych piśm na tematy „wysuwane przez publiczność i Konstantego Mackiewicza,

11. Zarządza się ustawienie na rogach wszystkich ważniejszych ulic automa- tów, które — po wrzuceniu jednozłotowej monety — będą rejestrowały wiersze lokalnych poetów; po wrzuceniu zaś dwuzłotowej — wiersze warszawskich poetów.

8. Zobowiązuje się wszystkich administratorów posesji przy ul. Piotrkowskiej do założenia na dachach i attykach barwnie emalio- wanych szpakownic i osiedlenie w nich ptaków śpiewają- cych, nie wykluczając jed- nak kukulek elektrycznych, czajników z pozytywkami i „szarotek”.

9. Naukowcom nakazuje się, aby dla wzbogacenia przeszłości historycznej miasta — rozpoczęli bada- nia wykopaliskowe i odkry- li w terminie do dn. 19. I. 1960 roku przynajmniej jed- ną zabytkową kaplicę z XIII lub XIV wieku i je- den grób królewski względ- nie książeący z odpowiednimi prochami.

10. Dla pobudzenia pasji

Miejszadiny

pod redakcją: JANA HUSZCZY

KUŻMA PRUTKOW

Myśli i aforyzmy

ZARZĄDZENIE NINIEJSZE WCHODZI W ŻYCIĘ Z DNIEM JEGO OGŁOSZENIA!!!



Jeżeli chcesz być szczęśliwym, to nim bądź!

KALIKST ŁASICZKA

Podmiejska plaża i zapomniany pasek

Ballada

Hej, podmiejska gwarna plaża
ileż oczu naobraża!

Same wokół nagłe ciała
chea, by woda je zbrzygała.

Potem każde w słońcu siedzi,
by mieć kształt posagu z miedzi.

Pośród wiklin byle kepty
klempie ciało obok klempy...

Na kajaku facet jedzie,
dzisiaj któreś z ciał uwiedzie...

Pod brzojami bulgot wódki,
ciała inne leczą smutki.

Kiedy wieczór zaś zapada,
to rozchodzi się ciał stada.

Chłód lilowy zlebi pasek,
czyjs od spodni został pasek...

Zapomniany pasek leży,
romantyczny nastrój szerzy...

Przegląd prasy

— Szczęśliwy, komu matka natura tak wspaniała postać dała! — mówił wielbiad, przeglądając się w wodzie.

— Poczułam od razu technię ducha twego! — szepnęła owca do cielęcia.

— Konia! Konia! Królestwo całe za konia! — zaryczał zgłodniały lew w pustyni.

— A zatem, bracia, na koń, na koń! — krzyczał baki, stadem biegnące do walki.

— Trzymamy się zawsze domowego ogniska... — mówili pluskwy na ścianie,

— Przejorności to matka mądrości! — zawrzasnął strus i ukrył przed niebezpieczeństwem głowę w piasku.

— Uczciwość to jedna z najpiękniejszych cnót... — uczyła sroka młode swe potomstwo.

— Praca wzbogaca, praca szczęście daje... brzczały trutnie.

„Płotka”, 1963

Redaguje Zespół O Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” O Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96. Tel. 244-79 O Warunki prenumeraty: miesięcznie 4,- zł, kwartalnie 12,- zł. O Redakcja nie zamawia rezerwów nie zwraca O Prenumerate przyjmują wszystkie placówki pocztowe. Listonosze oraz PUPIK „Ruch” — z zaszczepieniem na „Odgłosy” Druk RSW „Prasa” - Łódź, Zwirki 17, Z. 1780. VI. 59. S-3

odgłosy str. 11



A. J. PIOTROWSKI

KROKI WE MGLE

Film produkcji angielskiej pt. „Kroki we mgle” — to jednocześnie obraz kryminalny (dwa morderstwa i jedno niezamierzone samobójstwo), melodramat psychologiczny i kicz. Ktoś pragnie się pozbyć żony i aby to osiągnąć truje ją w sposób systematyczny a skuteczny. Morderstwo byłoby doskonałe, gdyby nie fakt, że pomoc domowa wpada na trop zbrodni. Ale owa pomoc domowa z niewyjaśnionych przyczyn zakochuje się w wyrodnym małżonku pani domu (nieboszczki, która z portretu na ścianie ogląda wszystko co się dzieje potem). Teraz wstęp do akcji ma się już ku końcowi i następuje zasadnicza treść filmu. Degenerat pragnie się pozbyć niewygodnego świadka. Uzbrojony w ciężką łaskę wyrusza w noc i mgłę na polowanie, ale przez pomyłkę zamiaszt swojej siostry — szanowny sędzią bliżej po głowie Bogu ducha winną żonę policjanta. To już jest drugie morderstwo i koniec wątku kryminalnego.

W międzyczasie zostaje znaleziona łaska i policja ustala, że czyja ona pochodzi kolekcji. Dwukrotny morderca staje przed sądem. Ma szczęście, ponieważ świadkowie oskarżenia byli krytycznego dnia pijani i sąd nie traktuje ich zeznań z należytą ternu powagą, ale prowadzi proces o charakterze poszlakowym. Świadkiem obrony jest... pomoc domowa, która wie (!) że jej chlebodawca połował na nią, a nie na żonę policjanta — niemiły go wybrania z zarzutów dokonania zbrodni. Wszystko dzięki miłości, i to jest właśnie główny powód, dla którego film jest m. in. melodramatem psychologicznym.

ANDRZEJ DOŁĘGA POSTRACH Kobiet

Komplikacji jest nieco więcej, bo uwięziony morderca zamierzając ożenić się po raz wtóry. Na pomoc domową tylko ze zgrabną blondynką, w której z kolei kocha się nieszczęśliwie pewien młody prawnik. Tenże młodzieńca występował w byłym (i już zamkniętym) procesie jako obrońca oskarżonego. Obecnie rozpoczyna działalność mającą na celu powrotne postawienie konkurenta przed sądem. Ale to by się nie powiodło, gdyby sam zbrodniarz nie zaprzęgnął szybciej kształować swego losu i nie uczynił błędów, który stanowią efektowne rozwiązanie filmu.

Nie będę rzucał gromów pod adresem czynników, które ten film zakupuły. Nie będę — choć kiczowatość rzeczy jest bezsporna. Sądzę bowiem, że kicz trzeba oglądać także, inaczej straciłbyśmy tzw. skalę porównawczą i doświadczenia artystycznych filmów nie oglądaliśmy potem z należytym szacunkiem i uwagą. Niechże więc odpowiednie czynniki zakupują po jednym kiczu także. Oby tylko nie było tych ostatnich za wiele!

Znakomitego aktora komediowego Noela — Noela pamiętamy z doświadczeń i wiele zabawnej „Parady matrełów”, wyświetlanej u nas przed paroma laty. Pamiętamy go także z „Krwawej wendety”, gdzie miał po prostu, charakterystyczną rolę. Teraz Noel — Noel wystąpił u nas jako osobnik co najmniej dwulicowy: począł antykwariusz z małżonką francuskiego miszterka i zarządcą niedosy gwałcieci — postać kobiecą.

Antykwariusz jest amatorem malarstwa sztalagowego i kariery politycznej. W celach związanych z karierą przybywa do Paryża, odwiedza kabaret i ogląda widowisko zwane strup — teatrem. Oto powód, dla którego popada później w kłopoty z prawem i ustraszona, a jego komizne przyspyły stała się te matem filmu.

„Postrach kobiet” jest filmem przeciętnym, co nie znaczy jednak, że nie ogląda się go z przyjemnością. Decyduje o tym zarówno traktowanie aktorskie, jako też rzeczne zawiazanie persypetii antykwariusza. Film jest pogodny — w oryginalnej, francuskiej wersji miał nawet arcygodne zakończenie, nakreślone w „technicolorze”. Wersja polska gładzi to zakończenie posttradala! Może zaginęło? Wytwórni Kopia Filmowych? Nie wiem. Obraz zyskuje dzięki temu na dowcipie... Bohater żegna wiadomie i ogłasza, że zaraz zobaczymy swa przyszłość w kolorach naturalnych (film jest czarno-biały); kłania się i... następuje ściemnienie, z tradycyjnym napisem komedii: W zakończeniu, którego nie ma — następuje drugi happy end: młoda para wychodziła na łake pełna kolorowych kwiatów i Noel — Noel rozkładał sztalugi dla kontynuowania przerwanej działalności artystycznej.

Ten niezły rozrywkowy film nie jest wprawdzie gwóździem najbliższego repertuaru, ale jest jedną z jego atrakcji. Bliżej, ale utrzymamy w dobrym guście. Można go spokojnie polecić Czytelnikom.



„Ondraszek” jednak na ekranie!



„Ondraszek” — ale nie ów mityczny, pełnometrżowy i fabularny film Aleksandra Forda (o którym tyle się swego czasu mówiło), tylko mały, kolorowy „Ondraszek”, realizowany w Studio Filmów Lalkowych w Tuszyńce koło Łodzi. Film oparty jest na pieśni St. Hadyny, znanej z repertuaru „Śląska”.

Autorem scenariusza, oprawy plastycznej i reżyserii „Ondraszka” jest znany artystyk lódzki, p. Wacław Kordecki. A co do nowatorstwa filmu, to polega ono na dużej ekspresji i dynamicznej stronie zdjęciowej. Użytkuje się to przez odpowiednie oświetlenie i grę barwnych światel. Figurki są wykonane z gliny — łączą ciekawą formę plastyczną z utrokiem ludowych świętków. Autorem opracowania zdjęciowego jest absolwent Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej — Eugeniusz Ignaciuk. Czekamy!

Zdjęcia i tekst J. KOPEĆ



FELIX

Film o przyjaźni człowieka łabędzia... Oczywiście adaptacja znanego opowiadania Sławomira Mrożka. Adaptacja zresztą dość dowolna, zmieniłono np. scenarię, któregoś dnia kierownictwo miejskiego parku najmuje nowego dozorcę. Ma on opiekować się łabędziem. Dni są jednakowe, pada deszcz, i nikt nie przychodzi oglądać łabędzia. Dozorca wynymka się ukradkiem do pobliskiego baru. Obawia się jednak, że ktoś, korzystając z jego nieobecności, gołów zawładną łabędziem. Nie ma rady — bierze łabędzia ze sobą.

Ten tryb życia przypada łabędziowi do gustu a wspólne wyścizki z dozorcą zajmują poręczne miejsce wśród jego przyzwyczajen. Ale wszystko co piękne i pełne uroku ma, niestety, swój koniec. Któregoś dnia panie opiekujące się dziećmi stwierdzają ponad wszelką wątpliwość, że biały łabędź zatacza się dywając. Jest pijany! Dozorca traci posadę.

Film pt. „Felix” realizowany jest przez studentów PWSF pod opieką artystyczną prof. Antoniego Bohdziewicza. Reżyseruje Mariusz Chwiedczuk — zdjęcia wykonuje Andrzej Koszanko.

W roli głównej Wiesław Mirewicz